

Polescy uzdrowiciele

Tekst i zdjęcia Rafał Zubkowicz

Mieszkają w niewielkich, drewnianych chatach. Ich sława sięga hen, daleko poza granice rejonu. Odpędzają złe wiatry, Inem wypalają róże, nastawiają wywichnięte stawy i modlą się w blasku płonącego Inu. Spotkać ich można niemal w co trzeciej wsi na ukraińskim Polesiu. Uzdrowiciele, zamawiacze, szeptuchy – kontynuują odwieczną tradycję regionu.

– Nie ja pomagam, a sam Bóg pomaga. Prosim Bożej miłości, niech wróci na miejsce krew, ciało i kości – brzmi zakończenie modlitwy, którą 74-letnia Marija Baranczuk stawia na nogi chorych, a w najgorszym razie przywraca im wolę walki z chorobą.

Wołają na nią w okolicy Bielaszanka, czyli córka Bielaszychy, po której przejęła warsztat i, jak się okazało, zdolności. Leczeniem zajęła się trochę przez przypadek, trochę z woli ludzi, którzy domagali się pomocy. W rodzinnym domu po wielokroć miała okazję słyszeć, jak matka rozganiała na wszystkie strony świata wiatry podejrzane o wywołanie dolegliwości: dębowe, przydrożne, kurze, kacze, indycze i siedemdziesiąt dwa pozostałe. Zaklęcia utkwily jej w głowie dzięki dobrej pamięci i temu, że niemal co dzień w chacie zbierała się gromadka szukających pomocy.

Wychodźcie lęki-przelęki!

Siedemdziesiąt dwa wiatry więcej może z mniejszą mocą niż za dawnych czasów, ale i dziś nie ma tygodnia, by kilku chorych nie zastukało do drzwi Bielaszanki. Pacjent nie musi czekać w kolejce, a i uzdrowicielka – emerytowana kołchoźnica – nie ma już pilnych robót, które musiałaby rzucać, by modlitwami przynieść ulgę cierpiącym. W letniej kuchni czeka na nich woskowa świeca i torba z lnianym włóknem. Na ból głowy – uzdrowicielka dziewięć razy ręce przykłada i szepce Ojczy Nasz; różę przykrywa czystą szmatką, ściele na niej lniane włókno i powtarzając śpiesznie modlitwę, podpala; na lęki – co najmniej trzykrotnie odmawia Ojczy Nasz, dodając:

– Wychodźcie lęki-przelęki!

Dzieje praktyki Bielaszanki dowodzą, że w potrzebie nawet władza radziecka – oficjalnie tak religii, jak i wszelkim zabobonom niechętna – uciekała się do sprawdzonych metod. W ręce początkującej uzdrowicielki z Wiedmieży oddał się bowiem kiedyś

nawet milicjant-dzielnicowy, którego tak połamano, że zwaliwszy się na przydrożu, nic, tylko jęczał, ku wielkiej konfuzji naczelnika wsi. Bielaszankę zawołał, gdy szła z pola.

– Matka twoja leczy, to i ty pewnie coś umiesz – usłyszała.

We dwoje rozciągnęli obolałego władzę na brzuchu.

– Podeptałam go po plecach, śmiechem, żartem poszeptałam urywki modlitw, które matka mówiła. Jechał potem podłe chaty, zobaczył mnie i woła: „A samogonu nie gonicie?”. „A co?” – ja na to. On: „Jak tak, to przeszkadzał nie będę”. Tak się chciał odwdzięczyć, bo ponoć po różnych jeździł i nie pomagało.

Teraz Bielaszanka do tych spraw podchodzi poważniej. Miała nawet widzenie, w którym kobieca postać zapowiedziała jej sławę pośród ludzi. Kiedy widzi, że dolegliwość to nie żadne śmichy-chichy i sama nie da rady, odsyła do specjalisty. Najczęściej do baby Sani.

Złote ręce baby Sani

Baba Sania, czyli Aleksandra Okseniuk, mieszka w niedalekiej Zamuczenicy. Wieść o jej rzadkich zdolnościach niesie się w promieniu bodaj pięćdziesięciu kilometrów. Ta szczególna popularność wynika z faktu, że tutejsza uzdrowicielka jest kostoprawem, co w języku oficjalnej medycyny znaczy – ortopedą.

O godzinie 11.00 w izbie przyjęć, czyli na podłodze pustego pokoju, leży obnażony do pasa traktorzysta z Samar. Z rozrzuconymi na boki rękami, obolały, wygląda jak zdjęty z krzyża. Sania najpierw wbija mu zaciśnięte pięści w okolice łędźwi, a na koniec okręca go w pasie lnianym ręcznikiem. Wymęczony masażem delikwent, powoli, gramoląc się na czworaka, wstaje.

Sania ma pięćdziesiąt lat i nazywanie jej „babą” jest niezbyt taktowne, ale określenie przyjęło się już dawno, gdy tylko zaczęła nastawiać złamane kości i powykręcane stawy, masować obolałe grzbiety. Miała wtedy trzydzieści parę lat. Kto wie, czy odkryłaby w sobie talent, gdyby nie córka, której staw barkowy okazał się wyjątkowo podatny na zwichnięcia. Kiedy po raz czwarty zjawiła się u kostoprawki w pobliskich Kortelisach, ta niezbyt grzecznie wypaliła, że skoro Sania ma takiego dzieciaka, to powinna pomagać mu sama. Więcej już do Kortelisów nie pojechała. Gdy tylko rozeszła się wieść, że nastawiła bark swemu dziecku, zgłosiła się dziewczynka z dłonią wywichniętą na drugą stronę. Aleksandra nie dość, że na ten widok nie zemdląła, to jeszcze udało jej się dziecku pomóc. Lepszej reklamy nie było trzeba.

Od tamtej pory przez jej izbę przewinęły się tysiące pacjentów.

Mąż:

– Czasem i w środku nocy jadą i walą do drzwi! Jeszcze, żeby to nagły wypadek, ale to popiją i przypomną sobie gdzieś pod wieczór, że może by tak zdrowiem się zająć!

Sania:

– Cicho, cicho, a skąd wiesz? Może samochodu wcześniej nie było? Albo bali się po trzeźwemu?

Przyjeżdżają różni, świeccy i duchowni, a nawet – jak podejrzewają małżonkowie – lekarze. Podejrzewają, bo przecież żaden się nie przyzna, że jedzie się leczyć na zabita dechami wiochę, do wiejskiej baby, która nie tylko medycznego, ale żadnego – oprócz kilku klas – wykształcenia nie ma.

Na pryszczę – baba Domna

Domna Hajduczyk, rocznik 1922, nauki pobierała jeszcze *pry Polszczi*. Wiele się jednak nie nauczyła, bo o szkolny czas konkurowało pasienie krów, kopanie kartofli i inne gospodarskie roboty. Szkołą życia, do której zbacza z każdego tematu, były dla niej roboty przymusowe w podwiedeńskiej fabryce trykotażu oraz obóz karny, do którego trafiła po ucieczce z robót.

Kto nie skłoni się w pas, wchodząc do jej zapadłej chatki, uderzy łbem o futrynę. Rozprostować może się w sieniach bez pułapu, gdzie babcia Domna miele pszenicę w żarnach. Ale już w izbie najlepiej, jak siądzie na niewysokim stołeczku i pod-

da się babcinym modlitwom. Rzut oka wystarczy, by stwierdzić, że staruszka nie szepce ich dla pieniędzy.

Chatkę, do której po deszczach trudno się przeprawić przez podmokłe łąki, w Wielemczu znają wszyscy.

Aptekarka:

– Ja się do niej nie wybieram, to zabobony i grzech.

Kierowniczka wiejskiego domu kultury:

– Grzech? Tak mówi, bo ona z cerkiewnej rodziny, brata batiuszkę ma. A ja byłam. Sama i z córką.

O wiele łatwiej niż do samotnej chaty uzdrowicielki można trafić do miejscowej przychodni i szpitala. Okazały budynek wystawiono kilkanaście lat temu przy głównej ulicy. We wsi, która liczy półtora tysiąca mieszkańców, są dwaj lekarze, pielęgniarki i własna karetka. Dyżurująca wieczorem siostra Walentyna Domnę zna, ale mówi:

– Nie byłam i obym nie musiała.

O tej porze lekarza już nie ma, ale gdyby ktoś z kilku chorych, którzy kurują się w iście domowych warunkach, potrzebował pomocy, medyk przybiegnie z domu. On też baby Domny za konkurencję nie uważa.

– A czemu? Przecież ona nic złego ludziom nie czyni, od naszych lekarzy ich nie odwodzi.

Najlepszy dowód, że jedna z pacjentek szpitala była u Domny. Staruszka wyleczyła jej niegojącą się ranę na palcu, a potem postawiła na nogi konia.

– Z końmi, z krowami do niej jadą albo ją przywożą, jak zwierzę nie może dowlec się samo – mówi kobieta.

Ale największą specjalistką Domna jest od krost.

W specjalnej kąpieli, którą poleca uzdrowicielka z Wielemczy, tak samo ważny jest skład ziołowej mikstury, jak i procedura jej stosowania.

– Pierwszy raz przemywać przed wschodem słońca. Drugi raz w południe, a trzeci po zmroku. Wodę, co zostanie, wlać w dołek na północnym narożu chaty, gdzie deszcz z dachu kapie. Tyłem stanąć do świata i lać, a potem zakopać – objaśnia babcia, jakby mówiła o łykaniu tabletek godzinę przed jedzeniem.

Na podłodze leży obnażony do pasa traktorzysta z Samar. Z rozrzuconymi na boki rękami, obolały, wygląda jak zdjęty z krzyża. Sania wbija mu zaciśnięte pięści w okolice łądźwi i okręca go w pasie Inianym ręcznikiem.

Mystyk – dziad Terebij

Terebij, czyli Wasyl Skupiejko, mieszka w Mukoszyńcu nad Prypecią. Ma siedemdziesiąt lat i Bożą siłę za sobą. Prawosławną oczywiście, niemniej wspiera go ona w walce z chorobami u wyznawców rozmaitych religii, a także u zwierząt. Zwierząt może nawet szczególnie, bo zanim Skupiejko przeszedł na emeryturę, pracował

w kołchozie jako inseminator i doglądał kondycji zdrowotnej bydła. Gdy pomaga ludziom, przykłada ręce w obolałe miejsca i szepce modlitwę. Konie leczy też zaocznie – zdarzyło się raz, że zdyszany sąsiad przybiegł do niego na pole z prośbą o ratunek. Skupiejkowie akurat kopali kartofle.

– Ja tę kobyłkę znałem, zapytałem tylko, jakim imieniem ją woła. Pomodliłem się i gdy sąsiad wrócił do domu, już było jej lepiej – wspomina Terebij.

Dla praktyk, o których bez zażenowania opowiada babcia Domna, Terebij nie ma szacunku. Wierzy jedynie w moc modlitwy. Tej zaś nikomu nie zdradzi. Bo w niej właśnie cała moc, a jeśli ktoś ją przejmie, Terebij już nic nie wskóra i zostanie mu tylko szykować się na tamten świat. Skąd wie? Od matki, która też znała modlitwę o uzdrawiającej mocy. Oczywiście, nie tę samą – kiedy prosił, żeby zechciała go choć fragmentu nauczyć, odpowiadała:

– Synku, ja jeszcze pożyć chcę, ze dwa latka chociaż.

Treść modlitwy Terebij poznał we śnie.

– Czy ja się aby dobrze modłę? – pytałem sam siebie. Ale coś mi powiedziało, że dobrze. Bardzo dobrze nawet – mówi.

Tamten sen pewnie by mu się nie przyśnił, gdyby nie ziemskie problemy, a ściślej *diedowszczyzna*, której ofiarą padł syn Skupiejki. To prześladowczy rytuał, jakiemu młodych poborowych poddaje starszy rocznik. W porównaniu z polską falą zasługuje na miano sztormu. Chłopak już po dwóch miesiącach wojska trafił do szpitala. Sine pręgi z pleców zeszyły dość szybko, ale na wspomnienie tego, co stało się z synowską głową, rodzicom jeszcze dziś stają łzy w oczach. Po kilku latach *psychuszek* i dramatycznych poszukiwań ratunku związali go krajkami i powieźli do baby Maryny nad Bug. To ona uspokoiła oszalałe nerwy syna, a przy okazji dojrzała moc drzemiącą w ojcu.

– Nie płacz, twój syn będzie jeszcze żył lepiej niż inni. W tobie jest wielka Boża siła – powiedziała.

Dlaczego akurat *diedowszczyzna* dotknęła młodego Skupiejkę? Jego ojciec łączy z tym faktem dwa jajka, które jeszcze przed pójściem do wojska syn znalazł na progu domu. Wie, czyja to sprawka.

– Ale teraz ona nikomu krzywdy nie robi. Umarła – mówi Terebij.

Z rzeczy ważnych: trzynaście lat wcześniej Skupiejko przewidział, że premierem Ukrainy zostanie kobieta. Ta sama, która uśmiecha się z kalendarza wiszącego w świątecznej izbie nad łóżkiem.

Trzynaście lat wcześniej Skupiejko przewidział, że premierem Ukrainy zostanie kobieta. Ta sama, która uśmiecha się z kalendarza wiszącego w świątecznej izbie nad łóżkiem.

Rach-ciach i zrobione

Księża – podkreślają uzdrowiciele – nie są im przeciwni. Przecież modlą się tylko i nie czynią nic, co mogłoby ludziom wyrządzić szkodę. Bielaszanka i Terebij zaznaczają, że otrzymali błogosławieństwo duchownych, chodzą do spowiedzi. Sania nastawia dyski księżom i zakonnikom, a babcia Domna ma kąt pełen ikon.

Księża – podkreślają uzdrowiciele – nie są im przeciwni. Przecież modlą się tylko i nie czynią nic złego. Bielaszanka i Terebij chodzą do spowiedzi. Sania nastawia dyski księżom i zakonnikom, a babcia Domna ma kąt pełen ikon.

Czy o tym, że do zamawiaczy i kostoprawów wciąż zgłaszają się ludzie, decyduje słabość państwowej służby zdrowia? Chyba raczej przyzwyczajenie. Gdy jednej z pacjentek szpitala w Wielemczu zdarzyło się zwichnąć nogę, najpierw wybrała się do kostoprawa do Czerczy. Nogę nastawił, kazał okładać lnianą szmatką maczaną w solonej serwatce. Po paru tygodniach, gdy nie było już śladu kontuzji, kobieta pojechała na prześwietlenie do Kamienia Koszyrskiego. Tak na wszelki wypadek. Lekarz, który nic nie wiedział o swoim poprzedniku, popatrzył na zdjęcie i stwierdził, że wszystko jest w porządku. Po co więc od razu do lekarza?

– Tam trzeba czekać w kolejce, potem jakieś kontrole, jeszcze do szpitala położą. A u kostomachy – rach-ciach i zrobione – mówi kobieta.

Georgij Kaczuła z Górek nad Prypecią jeździł do takiego aż za Kowel, ponad sto kilometrów. Pomógł?

– A bo ja wiem? Ale ja do lekarza nie chcę.

Z Pożogu, gdzie Prypeć schodzi się ze Stochodem, do najbliższego uzdrowiacza trzeba jechać przez Lubieszów, gdzie lekarzy jest kilku. Ale Pawło Artysiuk, jadąc do Borek, nawet się w miasteczku nie zatrzymywał. Do lubieszowskiego lekarza zaszedł dopiero, gdy maść, którą Iwan Dowhun kazał mu smarować bark, przestała pomagać. Dostał wówczas dwa zastrzyki i cierpienie się skończyło. Do wizyty u Dowhuna się nie przyznał.

– Co mnie wzięło, że od razu do szpitala nie pojechałem, nie wiem – mówi teraz.

Państwowy patent

Iwan Dowhun jest uzdrowicielem sławnym i wyjątkowym. Do drewnianego domu dobudował obszerny gabinet, a sień zamienił w poczekalnię. Przyjmuje w zielonym kitlu, a o ludziach, którzy do niego przyjeżdżają – nieraz z bardzo daleka – mówi: pacjenci. Ma średnie wykształcenie medyczne, które uzupełniał na dwa sposoby: czytując się w podręcznikach dla lekarzy i rozmawiając ze wszystkimi uzdrowicielami

w okolicy. Dzięki temu dysponuje już całkiem sporą wiedzą, bo szkołę w Kamieniu Koszyrskim ukończył pięćdziesiąt jeden lat temu.

Młody Iwan po szkole wrócił do rodzinnych Borek, by zostać felczerem. Krzewiąc oficjalną medycynę, mógł albo zakwestionować tradycyjne praktyki, albo zaakceptować je i próbować tłumaczyć w oparciu o to, czego się nauczył. We wsi, w której znano go od małości, w grę wchodził tylko drugi wariant.

Błotnista droga do Borek przez znaczną część roku była nieprzejezdna i wówczas żadna pomoc szpitalna nie wchodziła w grę. Oznaczało to, że młody felczer raz-dwa musiał zmierzyć się z przypadkami, do jakich lekarze przygotowują się przez lata. Jego wiejskie mistrzynie w tym czasie pokazywały mu, jak chuchać, aby uspokoić rozhisteryzowane niemowlę, jak przelewać jajka, wypalać róże, zdejmować bóle czy doprowadzać do ładu naderwane wnętrzności i przepukliny.

Dowhun doczytywał i budował własną, niepowtarzalną wiedzę, w której to, co w książkach, nie wykluczało tego, co widział na własne oczy. W sobie samym dotarł do pokładów energii, którą pacjenci czują jako ciepło bijące z jego dłoni. Na różne dolegliwości zaleca, obok diety, preparaty ziołowe i maści.

Ponieważ jako położny powitał na świecie co drugą osobę we wsi, kogokolwiek tu spytać – każdy pokaże drogę do jego domu, nawet wracające ze szkoły nastolatki.

Dzisiaj oficjalnie jest na emeryturze i uprawia kilka hektarów ziemi. W ośrodku zdrowia zastąpił go młodszy lekarz, w rodzinie następcą będzie wnuk, który studiuje rehabilitację w Łucku. To z nim przygotował zestaw ćwiczeń na kręgosłup, które – rozrysowane na plakacie – porozsyłano po szkołach i biurach w całym obwodzie. Dowhun ma też państwowy patent na wykonane z drewna urządzenie do gimnastyki kręgosłupa. Ma nawet wizytówki, na których przedstawia się jako „lekarz ludowy”.

– Czemu to się u nas tak trzyma i tyle osób się po wsiach leczy? To dlatego, że współczesna medycyna to tylko pieniądze. Mało jest takich lekarzy, którzy chcą pomagać ludziom. A ja i te wszystkie babki chcemy pomóc, ot co – odpowiada sam sobie Dowhun. 🍄

Rafał Zubkowicz jest absolwentem Studium Europy Wschodniej UW i Wydziału Leśnego SGGW (obecnie pracuje jako redaktor czasopisma „Las Polski”). Autor kilku przewodników turystycznych i licznych artykułów poświęconych tematyce wschodniego pogranicza Polski.